Nota biograficzna pana Eugeniusz Dziewa ur. 17.12.1928 r. – zm. 21.08.2023 r.

Eugeniusz Dziewa pochodził z Kołomyi w dawnym województwie stanisławowskim na Ukrainie i wraz z innymi repatriantami osiadł w Świebodzinie w 1947 roku. Pracę w „Caritasie” rozpoczął 2 maja 1947 r., brał aktywny udział w organizacji Zakładu. Z żoną Stanisławą wychowali dwóch synów, mieszkali przy Placu Browarnianym 1.

Pracował wiele lat jako kierowca zakładowy, a wożąc nas (najpierw był Ford z zabudowaną częścią bagażową, do której wstawiono po bokach ławki) na wycieczki znał każdego pacjenta i zawsze pamiętał jego imię. Nie nosząc białego fartucha miał bezpośredni kontakt z wychowankami, był przez nich bardzo lubiany. To panu Geniowi podczas wycieczek śpiewaliśmy: „Panie Geniu gazu, panie Geniu gazu, bo pół litra jest w garażu…” - o co się nigdy nie obrażał.

Pan Genio uczył doktora Wierusza jazdy samochodem i doktor zdawał eksternistycznie egzamin na prawo jazdy. Jeszcze długie lata po odejściu z Zakładu – jeździł własną taksówką, opiekował się samochodami Dyrektora.

Był również chórzystą w Chórze „Harfa”, który kilkanaście lat prowadził nasz profesor Jan Sobociński. Jego wspaniały głos pamiętamy ze śpiewów jakie towarzyszyły sanatoryjnym wycieczkom, a dużo później zlotom Grupy Opty podczas których wraz z małżonką zaszczycali nas swoją obecnością.

W 2019 roku decyzją Walego Zgromadzenia „Grupy Opty” stał się naszym honorowym członkiem.

Zmarł 21.08.2023 roku w wieku 91 lat.

Celowo załączam tak obszerny rys postaci zakładowego kierowcy Eugeniusza Dziewy, gdyż nie nosząc białego fartucha miał bezpośredni i serdeczny kontakt z wychowankami, jak już pisałem wyżej każdego znał z imienia, a dla późniejszych wychowanków, stał się niemal symbolem Zakładu z czasów Caritasu i na zawsze pozostanie we wspomnieniach z tamtych lat.

Załączam spisane wspomnienia pana Genia z nagranej rozmowy w lipcu 2011 roku:

PIONIERSKIE LATA „CARITASU” ZE WSPOMNIEŃ EUGENIUSZA DZIEWY.

Pracę w „Caritasie” rozpocząłem 2 maja 1947 roku, przyjmował mnie dyrektor ksiądz Okoński, mocno schorowany człowiek – miał zaawansowaną astmę. Byłem przyjęty na etat kierowcy, choć jeszcze czekaliśmy na obiecany samochód z Caritasu z Krakowa.  
Moja rodzina pochodzi z Kołomyi – dawne Województwo Stanisławowskie, obecnie Iwano-frankowskie na Ukrainie.   
W 1944 roku po raz drugi przeszła tamtędy linia frontu. Ogłoszono, że tereny te nie będą już należały do Polski i Polacy podlegają repatriacji. Zabraliśmy się jeszcze zimą z pierwszym transportem do Krasnegostawu, ojciec mój był legionistą i wiedzieliśmy co nas czeka.   
W Krasnymstawie zamieszkaliśmy czasowo, bo front na cztery miesiące zatrzymał się na Wiśle. Rozpocząłem pracę w straży pożarnej i tam mając 17 lat zrobiłem prawo jazdy.   
To była bardzo niebezpieczna praca, ponieważ na tych terenach działała AK, Bataliony Chłopskie i inne organizacje bojowe, w wielu miejscach była pochowana broń i amunicja, często więc przy pożarach dochodziło do wybuchów. Dochodziło również do strzelaniny, gdyż AK-owcy walczyli z UB-owcami. Szczególnie pamiętam akcję walki z pożarem pod Piaskami, gdzie UB-ecy zlikwidowali pluton komendanta AK o pseudonimie Lew. Walki na tych terenach trwały do 1949 roku. Po ustaniu działań wojennych, gdy ojciec dowiedział się przez PCK, że część rodziny jest   
w Rzeczycy pod Świebodzinem i my tam pojechaliśmy. Po kilku miesiącach znaleźliśmy mieszkanie w Świebodzinie, w domu przyległym do starych murów obronnych przy Placu Browarnianym, vis’a vis Caritasu, w którym zamieszkujemy do dziś.

W pracy najpierw pomagałem w uruchomieniu kotłowni, gdyż mróz doprowadził do rozsadzenia pieców i jej zalania, potem remontowaliśmy zdewastowaną sieć wodno-kanalizacyjną. Jak przechodził front, to stacjonujące wojska sowieckie zrobiły tu sobie nie tylko szpital polowy, ale był tu też punkt dowodzenia i wszędzie były poprzeciągane kable łączności polowej. Wiele podłóg było wypalonych, bo bezpośrednio na nich rozpalano ogień, zima była sroga, więc by się ogrzać palono drzwiami i wszelkimi sprzętami. Później z hydraulikami rozmontowywaliśmy i na nowo układaliśmy rury grzewcze i montowaliśmy kaloryfery.

Zadaniem księdza Okońskiego było pilne doprowadzenie budynku do stanu używalności.

Nic nie można było kupić, szukało się wszędzie, w innych obiektach również, czasami to i my musieliśmy udawać się na „szaber”.

Centrala krakowska Caritasu łożyła spore kwoty na prowadzone roboty, jednak potrzeby daleko przewyższały możliwości. Ciągle uważano, że prace idą zbyt wolno, więc odwołano dotychczasowego dyrektora, na jego miejsce przybył zakonny ksiądz Szkarłat.

Gdy brygady remontowe były już ustawione, nowy dyrektor zajął się bardziej rolnictwem. Pola podchodziły prawie do samego zakładu, orałem je otrzymanym z Anglii traktorem. Kosiliśmy też łąki w Myszęcinku.

Później dyrektorem była pani Zaborowska, bardzo postawna kobieta, zajmowała się też raczej gospodarstwem, był przy Zakładzie agronom, nawet pobrali więcej pól, była pora zbiorów   
i młócki. Jesienią wymieniono wszystkie pola na majątek w Rzeczycy.

Na zapleczu Zakładu nadal funkcjonował niewielki majątek; były krowy, konie, trzoda   
i drób, którym zajmowała się pani Klara (nigdzie nie znalazłem nazwiska). Do pomocy pani Klarze przyjęto Stanisława Hryniewicza, który wkrótce przejął opiekę nad tym zakładowym gospodarstwem.

Gdy przyjechali biskupi z Krakowa, to nakazali ukończenie prac remontowych i pilne przyjęcie dzieci kalekich, gdyż na leczenie i oprotezowanie czekały tysiące kalek, a takie było przecież przeznaczenie Zakładu.